

Nasz sąsiad zza Buga, obecna Białoruś, tereny ojczyźniane Radziwiłłów, Mickiewicza, Orzeszkowej, Czesława Niemena i wielu innych znanych postaci, z pewnością nie należy do popularnych turystycznych destynacji. To ziemia nieznaną, koniec Europy, czy postrzegana stereotypowo i medialnie paszcza lwa, zwłaszcza dla Polaków, którzy w większości nie popierają niedemokratycznych rządów Łukaszenki.

Z polityką jest u mnie trochę podobnie jak z turystyką. Mam awersję do wyjazdów All Inclusive jak do wszelkiej maści politykierów, a jednak dużo podróżuję, tylko, że na inne możliwe sposoby i czasem też w miejsca gdzie z tą polityką jest coś nie tak właśnie. Ciągnie mnie tam, by osobiście choć trochę bardziej zrozumieć dlaczego tak się dzieje, że w jednych społeczeństwach i kulturach sprawdza się system demokratyczny, a gdzie indziej autokracja zdaje się być najlepszym rozwiązaniem. Czemu ludzie w jednym kraju pragną zmian, a w innych się ich boją. Dlaczego gdzieś tam jest bieda czy kryzys, a tymczasem gdzie indziej żyje się na wysokim poziomie. Te i inne z pozoru proste pytania, nazbyt często pozostają bez odpowiedzi.

Pamiętam jak wiele mnie nauczyła wizyta w Kosowie i Serbii podczas objazdu po Bałkanach. Niestety nabrałem wtedy też przekonania, że medialny obraz to nie wszystko. Rzeczywistość nie jest taka oczywista, czarno-biała. Wielu ludzi jakich spotkałem, opowieści, które usłyszałem, fakty jakie poznałem czy rzeczy i miejsca jakie zobaczyłem dały mi do myślenia. Wnioski i wrażenia z takich wyjazdów czasem bywają nader odmienne niż medialny wizerunek.

Może to jakiś pęd do prawdy, chęć weryfikacji, potrzeba osobistego doświadczania. Wątpię, więc poznaję? Czym innym jest przecież oglądanie zdjęć tryskającego wodospadu o zachodzie słońca, a czym innym kąpiel pod nim w jakiś magiczny wieczór. Zdjęcie być może zapamiętamy, ale większych emocji z tym związanych nie doświadczymy, natomiast taka kąpiel pozostanie na zawsze w naszej pamięci, wspomnieniach i sercu.

Dlatego właśnie chciałem się zanurzyć w tę białoruską rzeczywistość. Sam. Bez sugestyjnych towarzyszy mogących zaburzyć tę swobodę poznawania. Bez uprzedzeń, ale i bez oczekiwań.

Czytając relacje podróżników na portalach globtroterskich piszących o Białorusi czy słuchając opowieści stamtąd, zauważyłem dwa ich rodzaje.

Pierwsze to przesadzone zachwyty, wynikające zapewne z tego braku zaufania do mediów, czego efektem jest w tym przypadku założenie, że nie taki diabeł straszny jak go malują. Towarzyszy temu chęć zakwestionowania stereotypowo negatywnego obrazu kraju, a pozytywna opowieść o nim ma w ocenie autorów odkrywczy charakter, tak pożądany przecież przez prawdziwych globtroterów. Stąd większość obserwacji i

wniosków podróźnych jest niestety obarczona nadmiernym optymizmem, a wręcz czasem polityczną propagandą skierowaną - w mojej subiektywnej opinii - nazbyt pochopnie przeciwko zachodniemu modelowi demokracji.

Drugi typ podejścia do tego kraju to podejście ewidentnie krytyczne, pokazujące Białoruś wyłącznie jako kraj biedny i zacofany, w którym ludzie jedynie ze strachu lub nieświadomości popierają dyktaturę.

Obie te skrajne postawy jakoś przekonywały mnie do tego, że prawda chyba jak zwykle leży gdzieś po środku. Nadszedł czas, by się o tym osobiście przekonać.

Przed wyjazdem cechowało mnie duże powątpiewanie do medialnego wizerunku Białorusi, a jednocześnie miałem krytyczne zdanie o politycznych poczynaniach Łukaszenki. Po powrocie stamtąd mogę śmiało stwierdzić, że w tym temacie...nic się u mnie nie zmieniło. A więc krótko. Nie jest tak źle jak nam to przedstawiają media, ale metody rządów pozostawiają wiele do życzenia.

Pierwszą rzeczą jakiej się obawiałem był problem z otrzymaniem wizy, na dodatek w tak trudnym momencie konfliktu dyplomatycznego między naszymi krajami, gdy jeszcze 3 miesiące temu nasz ambasador został wyproszony z Białorusi, a w solidarności z nim wyjechali także wszyscy pozostali europejscy dyplomaci.

Nie miałem zaproszenia od nikogo, ani też o to nie zabiegałem słysząc informacje, że takie osoby mają później problemy z bezpieczeństwem jako prawdopodobni opozycjoniści. Zapłaciłem więc za wizę i za voucher turystyczny, co wraz z oficjalną opłatą konsularną 25EU, prowizją dla agencji pośredniczącej i przesyłką kurierską w obie strony wyszło łącznie ok. 400 zł, czyli dość sporo. Zapewne jest to jedna z pierwszych barier dla Polaków wybierających się na Białoruś właśnie.

Moje obawy w kwestii uzyskania wizy, wynikały także z terminu wyjazdu w dzień kiedy w Polsce rozpoczynać się miało Euro2012, co dla podejrzliwego dyplomaty mogłoby się wydawać zapewne nieco dziwne. Na szczęście były to tylko strachy na Lachy.

Z białoruską wizą w paszporcie na lotnisku w Warszawie kupiłem dużo tańszą wódkę Wyborową w specjalnej edycji na piłkarskie mistrzostwa Europy, przyodzianą w biało-czerwoną koszulkę. Wylatując do krajów Unii Europejskiej jej koszt to 49 zł za 1 l, a do innych tylko 29 zł. Od sprzedawcy dowiedziałem się, że to właśnie unijny podatek podraża zakup. To co to są za sklepy wolnocłowe i dla kogo? Mimo tego dokupiłem do kompletu zestaw 4 kieliszków z godłem Polski, słysząc wcześniej, że Białorusini jak żaden inny naród lubią sobie wypić i mając nadzieję, że taki przyjacielski gest pozwoli mi na przełamanie domniemanej niechęci wobec przybysza z nad Wisły.

W samolocie należy wypełnić kartę migracyjną w wersji dla dwóch sąsiedzkich krajów, które tworzą obecnie sojusz zwany w skrócie dość przewrotnie ZBiR, czyli Związek Białorusi i Rosji. Wbrew powszechnej w Internecie informacji, jest ona w dwujęzycznej wersji, rosyjsko-angielskiej, a nie wyłącznie rosyjskiej. Można ją też podobno wypełnić po polsku.

Na lotnisku w Mińsku pierwsze wrażenie niczego sobie. Jedynie toaleta „na narciarza” mnie nie zachęciła do skorzystania, choć widywałem takie przy autostradowych parkingach w Niemczech i Francji. Jak się za parę dni przekonałem, na piętrze w sali wylotów mińskiego terminala jest obok takiej wersji toalety także bidet, do którego niestety nieobyczajni Europejczycy czasem załatwiają swoje potrzeby.

Na lotnisku udałem się do punktu wymiany walut, wiedząc, że - ze względu na panującą inflację - na Białorusi ustalany jest jednolity kurs dolara na 8220 rubli białoruskich, aby przynajmniej częściowo uniknąć spekulacji walutami. Zapewne nie jest to możliwe, ale szczerze powiedziawszy obawiałem się wymiany dewiz w ciemnej bramie po lepszym kursie. Można tak dostać nie tylko fałszywki, ale podobno także wyrok i odsiadkę. Po wymianie w oficjalnym kantorze 120 dolarów zostałem...milionerem. Żartuje się, że na Białorusi wszyscy są szczęśliwi, bo są milionerami właśnie.

Po wyjściu z terminalu oblegli mnie taksjarze oferujący swoje usługi transportu do centrum za jedyne...50 dolarów. Wiedziałem, że można dużo taniej dojechać miejskim autobusem nr 300 do stacji metra czy któregoś z trzech dworców, za co płaci się jedyne 11850 rubli, czyli jakieś 5 zł.

Zamiast autobusu podjechał jednak rozklekotany busik, zatłoczony i duszny. Podczas jazdy wywołała się dyskusja między pasażerami czy mają być otwarte wywietrzniki w dachu czy nie. Po dość burzliwej wymianie zdań skończyło się na kompromisie, że uchylono otwory na przestrzal a nie do wewnątrz, a oponujące panie założyły chusty chroniące je przed przeciągiem. Ot taka mała lekcja demokracji.

Jazda z lotniska do pierwszej stacji metra Uručza to jakieś 40 minut solidną autostradą. Można popatrzeć sobie wtedy na ciągnące się wzdłuż drogi bujne lasy, a na przedmieściach szare, postsowieckie blokowiska. Co ciekawe, na przydrożnych bilbordach Białoruś reklamuje się jako kraj...lasów właśnie. Zabawne, że nikt z politycznych cenzorów nie przewidział, że może się to kojarzyć z tym, że są pod wieloma względami w przysłowiowym lesie.

Ponoć kiedyś Stalin w swej ojcowskiej dobroci ofiarowywał swoim sojusznikom i republikom prezent do wyboru, albo socrealistyczny pałac albo metro. Warszawiacy wybrali metro i chyba na przekór dostali

pałac. Z tego co pamiętam w Rydze też jest pałac, a nie ma metra. W Mińsku natomiast nie ma żadnego stalinowskiego pałacu, ale za to są dwie krzyżujące się linie metra. Koszt żetonu na 1 przejazd wynosi 1500 rubli, czyli 0,60 zł. Za 10 przejazdów zapłacimy zatem jedyne 6 zł. Nie ma dniówek, choć warto przy kilkudniowym pobycie i korzystaniu z metra rozważyć zakup 10-dniowego karnetu za 21600 rubli, czyli jakieś 9 zł.

Do mojego hostelu przy końcowej stacji metra Mogilievskaja jechałem jakieś kolejne 40 minut z przesiadką na krzyżówce, czyli Kastrycznitskaja (inne wejście to Oktiabrskaja) / Kupałowskaja. Już w wagonach metra i na stacjach można zauważyć jak wiele jest tutaj pięknych kobiet, chyba nawet więcej niż w Moskwie. Co prawda czytałem gdzieś, że modne tu są mini spódniczki, ale mimo ciepłej, czerwcowej pogody większość dziewcząt chodziła w jeansach.

W wagonie od razu rzuca mi się w oczy mapa nad drzwiami z nazwami stacji metra pisanymi po białorusku, choć większość z nich budowano w czasach radzieckich i oznaczona jest przy platformach akurat po rosyjsku. Stąd może dochodzić czasem do małych nieporozumień, zwłaszcza wśród niesłowiańskich turystów nie znających cyrylicy, którzy na mapie widzą jakąś nazwę, a na peronie co innego. Dla nas Płoczcza Niezależności i Płoczcziad Niezawisimosti to przecież to samo, ale na przykład dla turysty z Ameryki Południowej to duża różnica.

Podobnie jak w moskiewskim metrze, co jakiś czas słyszymy tu komunikat o potrzebie wzajemnej życzliwości, którego wysłuchiwałem z kilkaset razy podczas pobytu w stolicy Rosji, stąd dostrzeżenie pewnych różnic świadczących o tym, że jest nagrany po białorusku. Niestety w dalszych moich wędrowkach po Białorusi okazało się, że rodzimy język praktycznie nie jest używany na rzecz rosyjskiego. Sam Łukaszenka mówi po rosyjsku i zaleca posługiwanie się tym językiem, a zwykli ludzie po prostu przywykli do niego, jak to mi wyjaśnił poznany w hostelu Białorusin Dima. Można się zatem spodziewać, że niedługo te mapy metra w wagonach i nazwy ulic w mieście niedługo zostaną zastąpione rosyjskojęzycznymi wersjami.

Jest to o tyle dziwne, a wręcz absurdalne, biorąc pod uwagę to, że białoruski rząd cały swój prestiż zdaje się budować na fakcie niezależności od innych państw. Główna ulica i plac w Mińsku nie przypadkowo przecież noszą nazwę Niezależności, gdy tymczasem rodzimy język, podstawowy atrybut przecież każdego, niezależnego narodu, jest tutaj niemile widziany.

W hostelu spotkałem sympatycznego Wenezuelczyka Rohimana czyli Roya i wspomnianego Białorusiną Dimitra czyli Dime z obsługi. W 8-osobowym pokoju byliśmy we trzech, choć nocującego z nami pierwszą noc Bułgara

nie widziałem nawet na oczy, gdyż ponoć zajrzał nad ranem jedynie po plecak i szybko się ulotnił. Za to z Royem i Dimą oglądaliśmy na plazmowym ekranie w naszym pokoju pierwszy mecz Polaków z Grekami. Otworzyłem też mój alkoholowy podarek z Polski i po strzelonym голу oraz obronionym karnym wypiliśmy za naszych, a Dima bardzo ucieszył się, gdy go obdarowałem kieliszkiem z polskim orłem, którego potem strzegł jak ognia. Wenezuelczyk po dwóch stopkach wymiękł i poszedł spać, nawet nie obejrzał meczu Rosji z Czechami, a Dima z kolei nie mógł więcej, bo był w pracy. Liczyłem, że może z przybyłymi akurat do hostelu dwoma Czechami napijemy się z napoczętej flaszki, ale żal po szybkiej stracie 4 goli jakby ich zniechęcił do celebrowania wyniku na tzw. smutasa i zwinęli się do swojego pokoju jak krecik do norki. Trudno, zostanie na kolejne dni. Może ktoś jeszcze dojedzie. Dima poinformował mnie, że na pewno butelka się nie zmarnuje, bo jutro przyjeżdża grupa Białorusinów, którzy zapewne dadzą radę.

Następnego dnia Białorusini co prawda dojechali, ale zakwaterowali się po drugiej stronie hostelu i nie mieliśmy okazji się nawet poznać, ale za to przybyli do mojego pokoju trzej Gruzini i trzej Rosjanie. Z Gruzinami od razu jakoś szybko nawiązałem przyjacielskie kontakty, chyba nie tylko dzięki postawieniu przez mnie polskiej wódki. Natomiast Rosjanie, z którymi jak do tej pory miałem równie dobre doświadczenia, tym razem zawiedli. Jak mi nie mam na przeszkodzie stanął brak sympatii do moich znajomych z Gruzji, za którą chyba nie przepadają. My natomiast zacieśnialiśmy naszą polsko-gruzińską przyjaźń w hostelowej kuchni. Co jakiś czas zaglądał też do nas Dima, najpierw po to, by się z nami napić, potem, by nas uciszać. Na koniec dostałem zaproszenie do Gruzji na ochotę i ribałkę, czyli polowania i wędkowanie i poważnie myślę, żeby się tam niedługo wybrać. Póki co jednak przede mną było poznawanie Białorusi. Najpierw stolica.

Mińsk to europejskie miasto. Widać tu kilka nowych i planowanych inwestycji, gdzieś tam świadczą o tym liczne dźwigi czy wizualizacje, na przykład nowej dzielnicy mieszkaniowo-handlowej Amadeus czy oddany niedawno nowoczesny dworzec kolejowy, na przeciwko którego znajduje się tzw. brama do miasta, pięknie oświetlona nocą. Niestety iluminacja większości budynków jak się przekonałem, trwa jedynie około godziny. W czerwcu mrok zapada około dziesiątej wieczorem, a już po jedenastej wyłączane jest oświetlenie, zapewne ze względu na oszczędności energii.

Ustawiając się ze statywem fotograficznym na przeciwko dworca kolejowego naraziłem się na pouczenie przez milicjanta, który twierdził, że jest to bezwzględnie zakazane, bo to obiekt strategiczny. Przy ponownym złamaniu prawa mogłem być aresztowany. Wydało mi się to absurdalne, bo przecież setki satelit nie tylko szpiegowskich ma już każdy tego typu budynek na Białorusi obfotografowany z każdej strony, co można chociażby sprawdzić na

Google Earth, a prawdziwy agent w ludzkiej postaci chyba nie rozstawiałby się publicznie z tripodem tylko zrobił zdjęcie z ukrycia lub jakimś aparacikiem w oprawce okularów czy jakoś tak.

Generalnie na ulicach Mińska widać dużo milicjantów na służbie chodzących trójkami, jak też żołnierzy, którzy gdzieś wciąż się przemieszczają. Co ciekawe często można też spotkać kilkunastoletnich zuchów w wojskowych mundurach jakby wracających z jakiejś akademii lub maszerujących kadetów. Czy ludzie dzięki temu czują się bezpieczniej, trudno mi powiedzieć. Mi to nie przeszkadzało. Przez cały pobyt nie czułem się w żaden sposób zagrożony, ani ze strony ewentualnych bandytów, ani tym bardziej milicji.

Zauważyłem parę razy jak milicjanci zatrzymują pijanych lub włóczęgów, zwłaszcza w okolicach dworca kolejowego albo legitymują okazjonalnych sprzedawców w tunelach metra. Jednocześnie od razu zauważa się też czystość na ulicach, którą miasto zawdzięcza stałym pracom porządkowym o każdej porze. Widziałem jak o pierwszej w nocy, w samo południe, rankiem czy pod wieczór zamiatano chodniki i zbierano pety z trawników.

Swoją drogą to w Mińsku nie trudno jest się wprowadzić w stan upojenia alkoholowego, bo piwo można kupić w każdym kiosku na przystankach autobusowych czy stacjach metra oraz budkach w mieście. Można też pić w miejscach publicznych, ale z umiarem, bo za włóczenie się po pijanemu można trafić na izbę wytrzeźwień. Piwo w budkach jest jednak droższe o tego w sklepach i kosztuje 12-15 tysięcy rubli. W parku dziecięcym jadłem do takiego piwa chyba najdroższego szaszłyka w życiu, bo za 400 g zapłaciłem 122 tysiące rubli, czyli jakieś 50 zł. Najlepsze piwo to Aliwarnia i Lidskoje. Polecam także popularny tutaj kwas, także z beczek stojących gdzieś przy wejściach do metra.

Jeśli natomiast chodzi o jedzenie to oczywiście czarny chleb, barszcz czerwony, bliny, pierożki, czeriebuki i wszelkiego rodzaju podobne do nich przekąski w różnych rodzajach ciasta i z różnym nadzieniem. Niezwykle popularne jest tutaj przegryzanie pestek słonecznika, przez co służby porządkowe na ulicach mają sporo roboty.

Warto zajrzeć na okazały Plac Niezależności, gdzie stoi fontanna z bocianami z brązu ładnie oświetlona na zielono wieczorem. Przed siedzibą rządu stoi tutaj pomnik Lenina. Z Wołodią, jak twórcę rewolucji nazywają Rosjanie, można sobie zrobić zdjęcie, byleby tylko nie wchodzić na marmurową płytę, na której stoi postument, za co grozi upomnienie od strażnika domagającego się nie tylko przestrzegania niepisanego acz oczywistego zakazu, ale także skasowania wykonanej fotki, czego byłem świadkiem jednego dnia.

W sobotni wieczór spotkałem na tym placu grupkę tancerzy break-dance

wesoło podrygujących na wprost budynków rządowych. Inna grupa młodzieży skakała na skyrunnerach, czego nie widziałem jeszcze nawet w Polsce. Małe dzieci za to radośnie bawiły się w fontannie. Na placu nie było żadnych milicjantów. Być może cały teren jest monitorowany przez kamery, ale i tak ten obrazek zdaje się świadczyć, że sporo, zwłaszcza młodych ludzi, żyje tutaj całkiem normalnie. W głębi placu stoi budynek Uniwersytetu, jedyny obiekt w stolicy przypominający stalinowskie pałace. Być może z tego względu jest to też ulubione miejsce studentów.

Co ważne, przy tym placu stoi jeden z bardziej znanych mińskich zabytków czyli czerwony kościół katolicki św.św. Szymona i Heleny. Przy wejściu jest tablica z imionami świętych patronów, z prawej strony po polsku, a z lewej po białorusku. Wnętrze kościoła jest dobrze utrzymane i odbywają się tu regularne nabożeństwa. W innych miejscowościach w jakich byłem, widać co prawda, że kościoły nie są w najlepszym stanie, ale są odnawiane przez darczyńców, a taki na przykład kościół polski w Mirze, z przepięknymi malowidłami jest atrakcją turystyczną także dla licznych grup Rosjan i Białorusinów.

Za czerwonym kościołem za betonowymi murami z drutem kolczastym stoi trudno zauważalny mały pałac Piszczalowski, gdzie mieści się obecnie więzienie, którego oczywiście nie można zwiedzać, chyba, że się tam trafi jako aresztant. O to może zadbać chociażby osławiona KGB, której budynki można zobaczyć idąc w górę ulicą Niezależności. Po prawej stronie widać pomnik Dzierżyńskiego, który stoi na przeciwko siedziby białoruskiej służby bezpieczeństwa, na skwerze prowadzącym prostopadłe do stadionu Dynama Mińsk.

Spacerując dalej ulicą Niezależności dochodzi się do Pałacu Republiki z jednej strony, a z drugiej do Pałacu Oficerów, przy którym stoi na postumencie czołg, jako pomnik pamięci o Wojnie Ojczyźnianej 1941-45. W pobliskim skwerze Aleksandrowskim znajduje się XIX wieczna figura chłopca z łabędziem.

Dochodząc do rzeki Swisłoczy, po prawej otwiera się przed nami Centralny Park Dziecięcy, gdzie znajduje się wielkie koło młyńskie, z którego można podziwiać widok na miasto. Po lewej stronie mieści się natomiast Park Janki Kupały, powszechnie tu poważanego wieszca białoruskiego.

Po kilkuset metrach ulica Niezależności dochodzi do Placu Zwycięstwa (Pobiedy) z postumentem w kształcie szpicy z sowiecką gwiazdą na szczycie, przed którą pali się wieczny ogień. Co ciekawe w podziemnym przejściu, dokładnie pod pomnikiem też ustawiono płonący memoriał.

Jeśli udamy się dalej na północny-wschód ulicą Niezależności możemy zobaczyć Akademię Nauk, ogród botaniczny, a za Moskiewskim Dworcem

Autobusowym przed stacją metra Wostok wybudowano ponoć najbrzydszy nowoczesny budynek w Europie, czyli Bibliotekę Narodową. Tam też obecnie budowana jest najnowocześniejsza dzielnica mieszkaniowo-handlowa Mińska pod nazwą Amadeus. Jej wizualizacje na ogrodzeniach placu budowy robią wrażenie i działają na wyobraźnię mieszkańców, przekazując im jednocześnie sygnał, że w stolicy - a co za tym idzie w państwie - dobrze się dzieje.

Odbijając z kolei przy Swisłoczy w lewo dojdziemy do okazałego gmachu Teatru Narodowego, w którym mieści się także opera. Stąd blisko jest do Troickiego Wybrzeża z kilkoma starymi domami nad rzeką oraz popularną wyspą łez, na której znajduje się martyrologiczny pomnik oraz figura anioła. Można tam popływać łódką i rowerami wodnymi. Po drugiej stronie rzeki widać Pałac Sportu, a jeszcze dalej mieści się Dom Moskwy.

Wracając stamtąd do ulicy Niezależności warto przespacerować się do katedry św. Ducha w pobliżu stacji metra Nemiga, a dalej do białego ratusza, pod którym stoi karoca z brązu zaprzęgnięta w parę koni. Odbijając tam do ulicy Hradski Wał można na pobliskim skwerze zobaczyć pomnik Mickiewicza, autorstwa mieszkającego na Białorusi polskiego rzeźbiarza Andrzeja Zaspickiego. Ten ważny dla nas pomnik powstał dzięki wieloletnim staraniom białoruskiej Polonii i przy wsparciu finansowym polskiego ministerstwa kultury. Co może się wydawać kontrowersyjne obecnie, zamiast jak za sowieckich czasów przemilczać twórczość tego poety, zaczęto się z nim na Białorusi oswajać. Uznawany jest tutaj za białoruskiego twórcę mieszkającego w Rosji piszącego po polsku o Litwie. Swego czasu Rosjanie także uważali Mickiewicza za ichniego, bo w czasach, gdy tworzył ani Litwy ani Polski nie było na mapie świata. To, że Litwini traktują go za rodaka, to już inna bajka.

Swoją drogą Białorusini uważają się za spadkobierców Wielkiego Księstwa Litewskiego, niektórzy nawet i Rusi Kijowskiej. Dla dwudziestoletniego, nowego, postsowieckiego, ale niezależnego państwa pojawiła się potrzeba znalezienia historycznego fundamentu do utrwalania silnej władzy, opartej na tradycji i dawnych korzeniach. Trochę mi to przypomina ambicje Macedonii i jej próby zawłaszczania mitu Aleksandra Wielkiego, który z tym słowiańskim narodem nie miał przecież nic wspólnego.

Brakuje tu jednak jakiejś konsekwencji. Na równi pielęgnuje się tu słowiańskie tradycje, takie jak popularna zwłaszcza na wsiach kupalnocka, jednocześnie wielbiąc sowieckie symbole, co widać chociażby na ulicznych banerach, stacjach metra, placach i budynkach rządowych. Już teraz władza ma potężny, propagandowy oręż w ręku jakim jest organizacja mistrzostw świata w hokeju w 2014 roku, co ma świadczyć bezwzględnie o dostatku i wiarygodności kraju.

Znamienne jest to, że efekty tej sowieckiej polityki nadal widać, także u młodzieży. Młoda Białorusinka Tania, zmienniczka Dimy w naszym hostelu zapytana przeze mnie o to, czy nie wie gdzie znajduje się w Mińsku pomnik Mickiewicza, jak się okazało w ogóle o nim nie słyszała. No cóż, można spytać, któż z Polaków słyszał o Janki Kupale czy Jakubie Kołasie (z domu Mickiewicz), sławnych białoruskich wieszczach?

Z mińskich ciekawostek warto tutaj przytoczyć fakt postawienia pomnika Janki Kupaly, nazwania jego imieniem parku i znajdującego się tam muzeum przy istniejącej wcześniej ulicy Kupaly, której nazwa pochodzi od pogańskiego bóstwa, a nie od nazwiska tego pisarza jak się niektórym może obecnie wydawać.

Kolejnego dnia postanowiłem ruszyć za miasto i przyłączyłem się do zorganizowanej wycieczki przez biuro podróży Dortur z siedzibą na dworcu kolejowym, by zobaczyć dawne polskie zamki Radziwiłłów w Mirze i Nieświeżu, będące na liście UNESCO. O takiej formie turystycznego poznawania tych zabytkowych budowli obronnych zdecydowało kilka faktów, a mianowicie mała ilość połączeń autobusowych w tych kierunkach z Mińska, przystępna cena nieznacznie wyższa od łącznej ceny biletów autobusowych jakie przyszłoby mi zapłacić, szybszy czas objazdu oraz ciekawość poznania nowych ludzi, uczestników wycieczki, a także ich reakcji i podejścia do polskiej historii. Jak się okazało była to dobra decyzja.

Na wycieczce byłem jedynym Polakiem, a pozostałymi uczestnikami byli Rosjanie i Białorusini. Przewodniczka opowiadała podczas jazdy po rosyjsku historię tych ziem i co ważne nie dało się w tych opowieściach wyczuć żadnej propagandy. Nie wiem czy to ze względu na mnie, czy też ze zwykłego obiektywizmu opowiedziała też o tym, że II Wojna Światowa rozpoczęła się de facto w 1939 roku z chwilą napaści Niemiec hitlerowskich na Polskę, która była skazana na klęskę, zwłaszcza po wkroczeniu armii sowieckiej 17 września. Wyraźnie też słyszałem jak pani przewodniczka stwierdziła, że potem nastąpił nowy rozbiór Polski na mocy porozumienia Ribbentrop-Mołotow i z tego względu ziemie białoruskie także zostały podzielone. Jakoś tak czułem, że powinienem jej podziękować za mówienie prawdy, co też uczyniłem. Ona obdarowała mnie za to kilkoma folderami, niestety tylko jeden z nich, o uzdrowiskach był po polsku.

Zamek rodu Radziwiłłów w Mirze wygląda dostojnie, zwłaszcza od strony wody. Jego odnowione wnętrza też przyciągają wielu turystów. W piwnicach można oglądać beczki z winem i spiżarnie, w salach mieszkalnych duże wrażenie robią bogato zdobione drewniane sufity, w basztach i niektórych pokojach przygotowano ekspozycje militarne, w tym także polskie husarskie zbroje i mapy ówczesnej Rzeczypospolitej. Swoją drogą to chyba poza Nieświeżem jest to jedyny tak dobrze zachowany i tak okazały zamek na terenie całej Białorusi. W

przyzamkowej kaplicy znajdują się nagrobki panów zamku, a dalej w miasteczku w katakumbach katolickiego kościoła stojącego na wprost niebieskawe cerkwi, także trumienki przedwcześnie zmarłych, magnackich dzieci.

W przykościelnej karczmie zjedliśmy obiad, a mianowicie barszcz czerwony i na drugie danie garniec zapiekanych kartofli z mięsem i kapustą. Syci udaliśmy się do Nieświeża, który nadal dość często porównuje się do francuskiego Wersalu, co zdecydowanie jest przesadzone. Powiedzenie w Nieświeżu jak w Paryżu nie wzięło się jednak z nikąd. Cały zamek został niedawno odrestaurowany, głównie z państwowych pieniędzy i częściowo ze środków UNESCO. Dzisiaj po przekroczeniu fosy i zamkowej bramy oraz wejściu na dziedziniec mamy wrażenie, że to pałac, a nie zamek. Bogato zdobione i ciekawe architektonicznie elewacje, jakże odmienne od mirskich, dobitnie świadczą o kunszcie włoskich mistrzów renesansu.

Zamkowe wnętrza pokazują też zachodni szyk. Sale z okazałymi żyrandolami i świecznikami, na ścianach obrazy światowych mistrzów, lśniące podłogi. To wszystko pokazuje bogactwo zacnego rodu Radziwiłłów, którzy tu osiedli i dali Polsce 30 senatorów oraz znanych rycerzy. Mnie rozbawiły przydomki kolejnych panów zamku jak na przykład Sierotka czy Panie Kochanku. Jak dla dostojnych magnatów to przezwiska raczej z dziecięcej bawialni niż salonów.

Cały zamek otoczony jest starym, dużym parkiem ze stawami, sadzawkami, mostkami, figurą syreny, pomnikiem psa czy kamieniem z polską dedykacją, podobno spełniającym życzenia. Obecnie powstaje też tam aleja sław z popiersiami znanych postaci z historii Białorusi. Ciekawe czy znajdą się tam jakieś polskie nazwiska? Tuż koło zamku natomiast znajduje się pomnik chwały radzieckiego żołnierza.

W mieście koniecznie trzeba zwiedzić zabytkowy ratusz z portretami Stefana Batorego i Barbary Radziwiłłówny oraz kościół katolicki pw. Bożego Ciała zaprojektowany przez tego samego włoskiego mistrza, który pracował przy pałacu. To pierwszy barokowy kościół w Polsce. Jego bogato malowane wnętrza kościoła zachwycają i pokazują tym samym, że warto dbać o polskie zabytki, gdyż przyciągają one turystów z całej Białorusi i zagranicy.

W podziemiach kościoła spoczywają zwłoki 102 Radziwiłłów. Ciekawostką jest fakt, że fundator kościoła Mikołaj Krzysztof Radziwiłł (Sierotka), znany z licznych podróży po świecie, gdy przebywał w Egipcie poznał tajemnicę balsamowania zwłok. Dlatego zapewne po śmierci Lenina kilka trumien w Nieświeżu uległo dewastacji podczas prób odkrycia tajemnic mumifikacji przez sowieckich naukowców.

Pani z obsługi kościoła na wieść, że jestem Polakiem zaoferowała mi do

sprzedaży folderek o Nieświeżu w polskiej wersji językowej prosząc o zapłatę w złotych, które - jak mnie poinformowała - są potrzebne proboszczowi podczas wyjazdów do Polski właśnie. Po otrzymaniu 10 zł za informator i podobnej kwoty na ofiarę na rzecz odbudowy kościoła pozwoliła mi zrobić jedno zdjęcie wewnątrz, pomimo oficjalnego zakazu. Przy kościele stoi murowana z czerwonej cegły wysoka dzwonnica.

Wycieczkę muszę uznać za udaną i poleciłem ją Royowi, który pojechał tam kolejnego dnia mimo kompletnej nieznamomości języka rosyjskiego. Samotny, czarnoskóry Wenezuelczyk próbujący porozumiewać się po angielsku musiał budzić jeszcze większe zdziwienie niż ja dzień wcześniej jako jedyny Polak w grupie Rosjan.

Jako patriota koniecznie chciałem jeszcze odwiedzić Grodzieńszczyznę, rodzinne ziemie Mickiewicza, Orzeszkowej i wielu innych znamienitych Polaków. Niestety do Grodna z Mińska jest ze 300 kilometrów, a autokarem jedzie się jakieś 5 godzin w jedną stronę. Jednak co to dla mnie. Wybrałem się więc w podróż autobusem pod polską granicę, choć na Białoruś dotarłem samolotem. Na dodatek postanowiłem jeszcze zahaczyć o Nowogródek przez co cała jazda terkocącym i dusznym MAZem do Grodna i z powrotem zajęła mi 12,5 godziny. Tego dnia miałem 2 godziny na zwiedzenie Nowogródka i tyle samo na spacer po Grodnie. Wystarczyło. Po całodniowej wycieczce na własną rękę o 1 w nocy byłem znów w Mińsku.

W Nowogródku pokręciłem się trochę wokół domu Mickiewicza, w którym obecnie mieści się muzeum, zamknięte akurat w poniedziałek. Obejrzałem ruiny zamku, skąd można także zerknąć na kopiec usypany na cześć poety. Na rynku wstąpiłem na śniadanie do baru Rzym, gdzie przygrywała nam szafa grająca. Jakoś tak tutaj przypomniała mi się opowieść o mistrzu Twardowskim, którego czarci mieli porwać do piekła w Rzymie właśnie, gdzie się ów jegomość nie wybierał. Dlatego diabły zbudowały karczmę o takiej nazwie, do której podstępnie zwabiły alchemika przez co musiał się ratować ucieczką przed piekłem na księżyc.

Przy rynku stoi oczywiście popiersie Lenina, jak w każdym chyba mieście na Białorusi, a paręset metrów dalej znajduje się pomnik Mickiewicza. W miasteczku można znaleźć liczne tutaj drewniane, kolorowe domy. Najciekawsze z nich trzy jednakowe posiadające elewacje w różnych kolorach stoją obok siebie przy placu dworca autobusowego.

Natomiast samo Grodno trochę mnie rozczarowało, może ze względu na dżdżystą pogodę, a może przez zmęczenie długą jazdą autobusem z popsutymi amortyzatorami. Z dworca autobusowego dotarłem na główny plac zwany Sowieckim, przy którym stoi ratusz i kościół jezuitów oraz tzw. batorówka, gdzie ponoć zmarł Stefan Batory. Dalej udałem się nad Niemen, mijając po prawej stronie teatr dramatyczny, a po lewej stojący czołg z lufą wycelowaną w inny kościół znajdujący się na

górcie. Z mostu podziwiałem widok na wzgórze zamkowe, u podnóża którego stały obskurne budynki, między innymi starego browaru. Na wzniesieniu znajduje się bura Stary Zamek i szary Nowy Zamek, w którym mieści się muzeum. W pobliżu zamków można zobaczyć charakterystyczną wieżę strażacką, a nieco dalej remontowaną obecnie starą synagogę. Nieopodal stoi także cerkiew prawosławna z gwiezdą kopułą.

Idąc drogą powrotną w kierunku dworca autobusowego, warto przejść się brukowaną ulicą Sowiecką, dochodząc do placu z pomnikiem Lenina oczywiście. Niedaleko stąd znajduje się pomnik i dom Elizy Orzeszkowej, autorki *Nad Niemnem*. Na przeciwko domu-muzeum Elizy Orzeszki, jak ją nazywają Białorusini, znajduje się mały park, dom owity zielonym bluszczem, a w pobliżu stoi duża różowo-biała cerkiew.

Przed wejściem do powrotnego autobusu do Mińska kupiłem sobie kwas, bułki i kiełbasę, która była tłusta i twarda, a na dodatek droga, bo kosztowała jakieś 45 zł za kilogram. Z racji, że drogę już poznałem, byłem zmęczony i robiło się już późno większość trasy przedrzemałem. Gdy dotarłem po pierwszej w nocy do hostelu wszyscy już spali. Rankiem okazało się, że dołączyła do nas młoda para z Rosji, z którą trochę pogawędziłem, ale musiałem szykować się do wyjazdu, więc dałem im kilka wskazówek co i gdzie warto zobaczyć i wyruszyłem na lotnisko.

Na terminalu lotniczym i w samolocie było mnóstwo kibiców rosyjskiej drużyny zmierzających do Warszawy na mecz Sbornej z Polską. Trudno mi było poznać czy to Białorusini czy Rosjanie. Słyszałem jak się umawiali, że jadać obić mordy Polakom, co mnie trochę zirytowało, ale nie chciałem wszczynać awantur, więc jakoś to przełknąłem. Wieczorem byłem już w domu i udało mi się obejrzeć mecz. Padł remis, ale na ulicach były rozróbki i aresztowano ponad 200 kiboli, Polaków i Rosjan. Kilka dni później okazało się, że obie drużyny odpadły z turnieju, mimo że były faworytami, jakby za karę za te chuligańskie wybryki. Wot taka ironia, a może sprawiedliwość losu.

W domu dałem córce resztę rubli z portfela. Ucieszyła się, gdy zobaczyła banknot na 5 tysięcy, twierdząc, że po raz pierwszy w życiu ma taką kwotę w ręce. Gdy jednak sprawdziła ile to jest warte na złotówki, mina jej zrzędła. Właśnie zbiera pieniądze na jakąś japońską lalkę, która w przeliczeniu jest warta 400 złotych. Ma już prawie całość. Ona też mogłaby być dzięki takiej kwocie milionerem, przynajmniej na Białorusi.